

Hans Christian Andersen

Brzydkie kaczątko

Jakże pięknie było na wsi! Lato było w pełni! Żółciło się żyto, zielenił owies, siano na zielonej łące ułożono w stogi, bocian chodził na długich, czerwonych nogach i paplał po egipsku; nauczył się bowiem tego języka od matki. Wokoło łąk i pól ciągnęły się wielkie lasy, a w lasach leżały głębokie jeziora - tak, na wsi było naprawdę prześlicznie. W blasku słońca, otoczony głębokimi rowami, stał tam stary dwór; od muru aż po brzeg wody rosły liście łopianu, a były tak wielkie, że pod największymi mogły się zmieścić stojąco dzieci; było tam tak dziko jak w najgęstszym lesie. W tym to gąszczu siedziała w swym gnieździe kaczką, wysiadywała pisklęta, nudziła się, bo trwało to bardzo długo, a rzadko kto ją odwiedzał; inne kaczki wolały pływać po kanałach, niż wchodzić pod liść łopianu, aby z nią pogadać.

Aż wreszcie jedno jajko po drugim zaczęło pękać, słychać było: „Pip, pip!”, wszystkie żółtka ożyły i wytknęły główki.

„Kwa, kwa!” mówiła kaczką, a pisklęta hałasowały, jak tylko umiały najgłośniej, i rozglądały się pod zielonymi liśćmi na wszystkie strony; matka pozwalała im patrzeć, ile tylko chciały, bo zielony kolor jest zdrowy dla oczu.

- Jaki świat jest wielki! - mówiły pisklęta, gdyż było im o wiele luźniej niż przedtem, kiedy leżały w skorupie.

- Czy myślicie, że to jest cały świat? - powiedziała matka. Świat ciągnie się jeszcze daleko po drugiej stronie ogrodu, aż do księżego pola, ale nigdy tam jeszcze nie byłam. Czy jesteście już wszystkie? - Potem wstała. - Nie, to jeszcze nie wszystkie; największe jajko jeszcze nie pękło. Jak długo to ma trwać? Teraz mam już naprawdę tego dosyć! - i znowu usiadła.

- No, co słychać? - spytała stara kaczką, która przyszła ją odwiedzić.

Z jednym najdłużej się ciągnie! - odpowiedziała kaczką siedząc na jajkach. - Wcale nie chce się otworzyć. Ale zobacz te inne. Są to najpiękniejsze kaczęta, jakie kiedykolwiek widziałam. Wszystkie podobne są do ojca; tego nicponia. Zupełnie do mnie nie przychodzi!

- Pokaż mi jajko, które nie chce pęknąć! - powiedziała stara. - Możesz mi wierzyć, że to jest jajko indycze. I mnie już tak nie raz oszukali, i potem miałam wiele kłopotów i trudów z malcami, gdyż bały się wody. Nie mogłam sobie dać rady, popychałam, krzyczałam, ale to nic nie pomagało. Pokaż mi to jajko! Tak, to jest jajko indycze. Porzuć je i ucz inne dzieci pływać!

- Jednak jeszcze trochę na nim posiedzę! - powiedziała kaczką. - Tak długo już siedziałam, że jeszcze mogę parę dni wytrzymać!

- Jak uważasz! - odrzekła stara kaczką i poszła sobie.

Wreszcie duże jajko pękło. „Pi, pip!” - zapiszczało pisklątko i wylazło; było bardzo duże i brzydkie. Kaczką przyjrzała mu się.

- Jakież to kaczątko jest duże - powiedziała. - Niepodobne do żadnego innego. Ale nie jest to chyba pisklę indycze? No, zaraz się o tym przekonamy. Musi wejść do wody, nawet gdybym je miała sama tam wepchnąć!

Nazajutrz była piękna pogoda. Matka - kaczką wraz z całą rodziną zeszła do kanału. Plusk! Wskoczyła do wody, „Kwa, kwa!” i jedno kaczątko po drugim plusnęło do kanału. Woda zalewała im głowy, ale podniosły je zaraz w górę i pływały wspaniale; nogi same się poruszały, wszystkie były w wodzie, nawet brzydkie, szare kaczątko pływało razem z innymi.

- Nie, to nie jest indyk! - powiedziała kaczką. - Spójrz tylko, jak ładnie porusza nogami, jak prosto się trzyma. To moje własne dziecko. W gruncie

rzeczy, kiedy mu się dobrze przyjrzeć, jest zupełnie ładne. „Kwa, kwa!” Chodźcie teraz ze mną, wprowadzę was w świat, przedstawię was na podwórku, ale trzymajcie się zawsze w pobliżu, aby nikt na was nie nastąpił, i strzeżcie się kota!

Przyszły na podwórko. Był tam straszny hałas, gdyż dwie rodziny pokłóciły się o głowę węgorza, którą w końcu złapał kot.

- Widzicie, jak się to dzieje na tym świecie! - powiedziała matka - kaczką oblizując sobie dziób, gdyż i ona miała ochotę na głowę węgorza. - Ruszajcie nogami - mówiła - kołyszcie się i ukłońcie się tej starej kaczkę, jest najwykwintniejszą ze wszystkich, jakie są tutaj. Ma w sobie hiszpańską krew i dlatego jest taka gruba; widzicie, ma na nodze zawiązany czerwony gałganek. To jest najwyższa odznaka, jaką kaczką może otrzymać, oznacza to, że obawiają się, aby nie zginęła i że ludzie i zwierzęta będą ją mogli odróżnić od innych kaczek. Kołyszcie się! Nogi stawiać do środka! Dobrze wychowane kaczątko rozstawia szeroko nogi jak ojciec i matka. Tak, a teraz kiwajcie głowami i powiedzcie: Kwa! Tak też robiły. Ale inne kaczki patrzyły na nie i mówiły głośno:

- Ach, Boże, po cóż nam to towarzystwo? Jakby nas nie było i tak dosyć. Fe, jak wygląda tamto kaczątko! Nie chcemy go tu mieć pomiędzy nami! - I zaraz potem jedna z kaczek podfrunęła i dziobnęła kaczątko w kark.

- Zostaw je w spokoju - powiedziała matka. - Nie robi nikomu nic złego.

- Tak, ale jest takie duże i tak dziwnie wygląda! - powiedziała kaczką, która dziobnęła kaczątko. - I dlatego trzeba je szturchać!

- Ładne masz dzieci, mateczko! - powiedziała kaczką z czerwonym gałgankiem na nodze. - Wszystkie są śliczne prócz tego jednego, które się nie udało. Byłoby dobrze, gdybyś je mogła odmienić!

- To niemożliwe, łaskawa pani! - powiedziała matka - kaczką. - Nie jest wprawdzie ładne, ale ma dobre serduszko i umie świetnie pływać, tak samo jak inne, nawet może trochę lepiej. Przypuszczam, że wyrośnie z brzydoty albo może w wiekiem zmaleje. Za długo leżało w jajku i dlatego nie wygląda tak, jak powinno wyglądać.

Skubnęła je w kark i pogładziła po piórkach.

- To jest zresztą kaczor - dodała - i dlatego uroda nie będzie miała dla niego takiego znaczenia. Myślę, że będzie silny i że jakoś da sobie radę.

- Inne kaczątko są śliczne! - powiedziała stara. Zachowujcie się tak, jakbyście były u siebie w domu, a jeżeli znajdziecie głowę węgorza, możecie mi ją przynieść.

I kaczątko zachowywały się tak jak u siebie w domu. Ale zarówno kaczki, jak kury dziobały, potraçały, kopały i wyśmiewały biedne kaczątko, które ostatnie wykluło się z jajka i było takie brzydkie. - Za duże! - mówili wszyscy, a indyk, który urodził się z ostrogami i wyobrażał sobie z tego powodu, że jest cesarzem, napuszył się jak okręt o wydętych żaglach i zwrócił się w stronę kaczątko gulgocząc tak, że aż mu cała głowa poczerwieniła. Biedne kaczątko nie wiedziało, co ma począć ani dokąd pójść; martwiło się, że jest takie brzydkie i że jest pośmiewiskiem całego podwórka.

Tak było pierwszego dnia, a potem działo się coraz gorzej i gorzej. Wszyscy prześladowali biedne kaczątko, nawet rodzeństwo było bardzo niedobre dla niego.

- Żeby cię kot porwał, ty wstrętny potworze! - mówiły kaczątko.

A matka dodawała:

- Byłoby lepiej, żebyś sobie poszedł gdzieś daleko!

Kaczki je dziobały, kury szczypały, a dziewczynka, która karmiła drób, kopała je nogami. Wreszcie kaczątko uciekło, przefrunęło przez płot, a małe ptaśki w krzakach uniosły się przerażone w górę. „To dlatego, że jestem takie

brzydkie!” - pomyślało kaczątko i zamknęło oczy; ale biegło wciąż dalej, aż przyleciało nad wielkie bagno, gdzie mieszkały dzikie kaczki. Siedziało tam całą noc, bo było takie zmęczone i smutne. Rankiem podniosły się do lotu dzikie kaczki i zaczęły się przyglądać nowemu towarzyszowi.

- Coś ty za jeden? - spytały, a kaczątko kręciło się na wszystkie strony i witało wszystkich, jak tylko mogło najgrzeczniej.

- Jesteś strasznie brzydki! - mówiły kaczki. - Ale co to nas obchodzi, dopóki nie będziesz się chciał ożenić z kimś z naszej rodziny.

Biedne kaczątko! Naprawdę nie myślało o małżeństwie, gdyby mu tylko pozwolono leżeć w sitowiu i napić się trochę wody z moczarów! Leżało tam całe dwa dni; potem przyleciały dwie dzikie gęsi, a raczej gąsiorzy, gdyż były to samce; niedawno wykluły się z jaj i dlatego były takie rezolutne.

Słuchaj no, towarzyszu - mówiły - jesteś taki brzydki, że cię nawet polubiliśmy. Czy chcesz pociągnąć z nami i zostać wędrownym ptakiem? Tu w pobliżu, w innym bagnie, przebywa kilka uroczych, zachwycających gęsi, same młode panny, które potrafią mówić „kwa”, może u nich będziesz miał szczęście mimo swej brzydoty.

„Pif, paf!” rozległo się nagle nad nimi i obie dzikie gęsi padły martwe w sitowie, a woda zaczerwieniła się od krwi. „Pif, paf!”, zabrzmiało znowu i całe stada dzikich gęsi wyleciały z sitowia, a potem znów słychać było strzały. Było to wielkie polowanie; myśliwi leżeli naokoło bagna, niektórzy siedzieli na gałęziach drzew; błękitny dymek unosił się jak obłoki pomiędzy ciemnymi drzewami i snuł się nad wodą; psy myśliwskie łążyły po błocie: plusk, plusk! Trzcina i sitowie gięły się na wszystkie strony. Jakież lęk ogarnął biedne kaczątko! Kręciło głową, chcąc ją schować pod skrzydło, ale w tej samej chwili stanął obok niego strasznie wielki pies, z wywieszonym ozorem i błyszczącymi groźnie oczyma, dotknął pyskiem kaczątko, pokazał ostre zęby i - plusk - uciekł nie schwytawszy go. - Ach, dzięki ci, Boże! - westchnęło kaczątko. - Jestem takie brzydkie, że nawet psy nie raczą mnie ugryźć.

I potem leżało spokojnie, podczas gdy śrut gwizdał nad sitowiem, a wystrzał grzmiał po wystrzale. Dopiero późno w dzień strzały uspokoiły się, ale biedne pisklę jeszcze długo nie odważyło się ruszyć, przeczekało jeszcze parę godzin i dopiero potem, rozejrzawszy się wokoło, wydostało się z bagna; biegło, jak tylko mogło najprędzej, polem i łąkami; dał silny wicher, z trudem więc mogło poruszać się naprzód.

Pod wieczór kaczątko zbliżyło się do ubogiej, małej chatki; była to tak żałosna chatka, że sama nie wiedziała, na którą ma upaść stronę. Trzymała się więc tak mocno. Wicher gwizdał nad kaczątkiem, tak że musiało aż przysiąść na ogonie, aby się utrzymać na nogach; dęło coraz silniej i silniej; wtedy ujrzano kaczątko, że drzwi urwały się z jednej zawiasy i wisały krzywo, tak że łatwo było się przemknąć przez szparę do środka. Brzydkie kaczątko tak też uczyniło. Mieszkała tam stara kobieta z kotem i kwoką; kot, którego nazywała synkiem, umiał wyginać grzbiet i sypać iskry; ale po to trzeba go było głaskać pod włos. Kwoka miała krótkie nóżki i dlatego przezwano ją Krótkonóżką; składała dzielnie jajka i kobieta kochała ją jak własne dziecko.

Rano spostrzeżono obce kaczątko, kot zaczął miauczeć, a kwoka gdakać.

- Co to jest? - powiedziała stara i obejrzała się, ale miała słaby wzrok i dlatego zdawało jej się, że kaczątko jest tłustą kaczką, która się tu zabłąkała. - To dobry nabytek! - powiedziała. - O ile to nie jest kaczor, będę miała kacze jaja. trzeba wypróbować!

I kaczątko zostało wystawione na trzytygodniową próbę, ale nie zniosło jaj. Kot był panem domu, a kwoka panią i mówili bez przerwy: „My i świat!” Gdyż

myśleli, że byli połową, i to lepszą połową świata. Kaczątko uważało, że można być innego zdania, ale kwoka tego nie znosiła.

- Czy umiesz znosić jaja?

- Nie!

- A więc przynajmniej stul buzię!

A kot powiedział:

- Czy umiesz się nastroszyć, miauczeć i sypać iskry?

- Nie!

- A więc zachowaj swoje zdanie dla siebie, kiedy rozsądni ludzie mówią!

Kaczątko siedziało w kącie i smuciło się. Wtedy myślało o świeżym powietrzu, o słońcu i poczuło gwałtowną chęć pływania po wodzie. Aż wreszcie nie mogło się powstrzymać, aby nie powiedzieć tego kwoce.

- Co ci przyszło do głowy? Nie masz nic do roboty i dlatego kaprysisz. Składaj jaja albo mruż, to ci przejdzie.

- Ale pływać jest tak przyjemnie! - powiedziało kaczątko. - Tak rozkosznie jest zanurzyć się głową w wodzie i znaleźć się nagle na dnie!

- To ci dopiero przyjemność! - powiedziała kwoka. - Chyba oszalałeś? Spytaj kota, który jest najmądrzejszym stworzeniem, jakie znam, czy chciałby pływać w wodzie i dawać nurka. O mnie już wcale nie mówię. Spytaj naszą starą panią; mądrzejszej od niej nie ma chyba na całym świecie. Czy myślisz, że chciałaby pływać i dawać nurka?

- Nie rozumiecie mnie! - powiedziało kaczątko.

- No, jeżeli my cię nie rozumiemy, to kto cię rozumie? Nigdy nie będziesz mądrzejszy od kota i od tej kobiety, o mnie już wcale nie mówię. Nie upieraj się tak, moje dziecko, i dziękuj Bogu za wszystko dobre, co dla ciebie uczyniono. Czyż nie dostałeś się do ciepłego pokoju? Czyż nie obracasz się wśród istot, od których możesz się czegoś nauczyć? Ale jesteś nieznośny i rozmowa z tobą nie jest przyjemnością. Możesz mi wierzyć, że ci dobrze życzę, mówiąc ci przykre rzeczy, a po tym właśnie poznaje się prawdziwych przyjaciół. Staraj się lepiej składać jajka i naucz się miauczeć lub sypać iskry.

- Myślę, że pójdę sobie w świat! - powiedziało kaczątko.

- No to idź! - odrzekła kwoka.

I kaczątko poszło. Pływało po wodzie, nurkowało, ale nikt nie zwracał na nie uwagi, bo było takie brzydkie.

Nadeszła jesień, liście w lesie pożółkły i stały się brązowe, wiatr pędził je tak, że tańczyły w powietrzu; a powietrze było zimne; chmury zwisały brzemienne gradem i śniegiem, a na płocie siedział kruk i wołał „kra, kra!” z zimna. Już na samą myśl o tym można było porządnie zmarznąć. Biedne kaczątko bynajmniej nie czuło się dobrze. Pewnego wieczoru słońce pięknie zaszło, a z krzaków wyfrunęła cała chmura cudnych, wielkich ptaków; były oślepiająco białe i miały długie, giętkie szyje; były to łabędzie. Wydawały dziwne dźwięki, rozpostarły wspaniałe, długie skrzydła i odleciały z zimnych okolic do ciepłych krajów, do otwartych mórz; wznosiły się tak wysoko, wysoko, że biednemu kaczątku zrobiło się jakoś dziwnie, kręciło się w wodzie, wyciągało do nich szyję wysoko w powietrzu i w końcu wydało głośny i dziwny dźwięk, którego samo się przestraszyło. Ach, nie mogło zapomnieć o pięknych ptakach, o szczęśliwych ptakach i kiedy zniknęły mu one z oczu, zanurzyło się w wodzie, aż na dno, a gdy wypłynęło, było jak nieprzytomne. Nie wiedziało wcale, jak się te ptaki nazywają ani dokąd lecą, a jednak kochało je, jak nikogo nigdy nie kochało; nie zazdrościło im wcale, jakżeż mogłoby marzyć, aby być tak piękne jak one; gdyby bodaj kaczki chciały je ścierpieć w swoim towarzystwie - biedne, brzydkie kaczątko!

A zima była taka mroźna, mroźna! Kaczątka musiało kręcić się wciąż po wodzie, aby uchronić się od zamrożenia, ale co noc otwór, w którym pływało, stawał się węższy, zamarzał, że aż trzeszczała lodowa powłoka; kaczątka musiało przebierać nogami, aby woda nie stanęła, aż w końcu zmęczyło się, znieruchomiło i przymarzło do lodu.

Wczesnym rankiem przyszedł jakiś wieśniak; zobaczył kaczątka, porozbijał drewniakami lód na kawałki i zabrał je do domu, do swojej żony. Tam je ocucono. Dzieci chciały się z nim bawić, ale kaczątka myślało, że chcą mu zrobić coś złego, i ze strachu wpadło do miski z mlekiem, tak, że mleko rozlało się po izbie, kobieta krzyknęła, załamała ręce, a kaczątka pofrunęło do dzieży z masłem, a potem do beczki z mąką, z której zaraz wyleciało; jakżeż strasznie wyglądało! Kobieta krzyczała i biegała za nim z pogrzebaczem, a dzieci goniły je, potrącały się i krzyczały - na szczęście drzwi były otwarte i kaczątka wyfrunęło między krzaki i świeżo spadły śnieg - leżało tam ledwo żywe.

Ale byłoby to zbyt smutne opisywać wszystko, co wycierpiało biedne kaczątka w czasie ostrej zimy. Kiedy słońce zaczęło na nowo grzać, leżało w bagnie pomiędzy sitowiem; skowronki śpiewały, była cudna wiosna. Nagle rozwinęło do lotu skrzydła, które szumiały silniej niż przedtem i niosły je mocniej niż dawniej, i zanim się obejrzało, znalazło się w dużym ogrodzie, gdzie kwitły jabłonie, gdzie kiście bzu pachniały i zwieszały się na długich, zielonych gałęziach ku wodnej powierzchni krętych kanałów. Ach, jakże tu było pięknie, jak świeżo, wiosennie! W tej samej chwili ujrzało trzy cudne białe łabędzie; zerwały się z zarośli i z szumem skrzydeł lekko popłynęły po wodzie. Kaczątka znało już te piękne stworzenia i na ich widok poczuło dziwny smutek.

„Chcę popłynąć do nich, do tych królewskich ptaków! Na pewno mnie zadziobią na śmierć, gdy ja, taki brzydka, odważę się do nich zbliżyć; ale nic mnie to nie obchodzi. Wolę, żeby mnie zabiły te ptaki, niż żeby mnie szczypały kaczkami, dziobały kury i kopała dziewczyna karmiąca ptactwo i żebym cierpiał w zimie.” Sfrunęło na wodę i zaczęło płynąć ku wspaniałym łabędom; zobaczyły je i szumiąc skrzydłami, popłynęły mu naprzeciw. - Zabijcie mnie! - zawołało biedne stworzenie i pochyliło głowę czekając na śmierć, ale cóż ujrzało w przezroczystej wodzie? Swoją własną obraz, lecz jakże zmieniony! Nie był już niezgrabnym, czarno szarym, brzydkim, odrażającym ptakiem, ale sam stał się łabędziem. Nie zaszkodziło to nic łabędziowi, że urodził się na podwórzu wśród kaczek, skoro wykluł się z łabędiego jaja. Jakże czuł się szczęśliwy po tych wszystkich cierpieniach i przeciwnościach losu, dopiero teraz potrafił ocenić swoje szczęście. A duże łabędzie pływały naokoło niego i gładziły go dziobami. Do ogrodu przyszło kilkoro małych dzieci, które rzucały chleb i ziarenka do wody, najmniejsze z nich zawołało:

- Przybył nowy łabędź! - a inne dzieci wołały razem z nim: - Tak, zjawiał się nowy! - i klaskały w ręce, i kręciły się w kółko, a potem pobiegły do swych rodziców i razem rzucały do wody chleb i ciastka, a wszyscy wołali:

- Ten nowy jest najładniejszy! Taki młody i piękny! - A stare łabędzie pochyliły przed nim głowy.

Wtedy ptak poczuł się zmieszany z radości; schował głowę pod skrzydła i sam nie wiedział, co się z nim dzieje; był zbyt szczęśliwy, ale wcale nie dumny, gdyż dobre serce nie bywa nigdy pyszne; myślał o tym, jak go prześladowano i wyszydzano, i słuchał, jak wszyscy teraz mówili, że jest najpiękniejszym ze wszystkich pięknych ptaków. Bzy pochylały swe gałęzie nad powierzchnią wody, a słońce grzało mocno i rozkosznie; wtedy zaszumiały skrzydła młodego łabędzia, podniosła się smukła jego szyja i zawołał z głębi serca:

- Nawet nie marzyłem o takim szczęściu wówczas, kiedy byłem tylko brzydkim kaczątkiem.